

BOLESŁAW
P R U S

PRZYGODA
S T A S I A



59

Weredo'ma H

415

SVB

BOLESŁAW PRUS

PRZYGODA STASIA

Wydanie szóste



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA 1942



PRU
PRZY

415

**BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE
W BUDYNKU
W STROGACH**

WYDAWCA: GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA
Nr 37/42

Zakł. Druk. F. Wyszynski i S-ka, Warszawa

Bohaterem opowiadania jest osoba, która ma trochę więcej niż łokieć wzrostu, około 30 funtów wagi i ledwie od półtora roku odbywa doczesną pielgrzymkę. Tę klasę obywateli kraju ludzie dorosli przezywają dziećmi i wogóle — nie traktują jej dość poważnie.

Dlatego z pewną obawą przedstawiam czytelnikom niedużego Stasia i przedewszystkiem proszę ich o cierpliwość. Jest to dziecko tak ładne i czyste, że mogłaby je ucałować każda dama, używająca czteroguzikowych rękawiczek. Włosy ma lniane, oczy duże szafirowe¹⁾, zgrzebną²⁾ koszulkę i tyle zębów, ile potrzeba do pójścia na własny chleb. Prócz tego posiada kołyskę, pomalowaną w czarne i zielone kwiaty na złotem tle, tudzież wózek, którego jedyną wadę stanowi to, że każde koło zdaje się toczyć w innym kierunku.

Czułbym się niepocieszonym, gdyby powyższe zalety nie zdobyły sympatji³⁾ dla Stasia, który, na nieszczęście, obok nich nie posiada żadnej niezwykłej cechy. Staś jest dzieckiem legalnem⁴⁾ i nie-

¹⁾ Ciemno-niebieskie; ²⁾ zgrzebny = z grubego płótna; ³⁾ sympatja = tu przychyłość; ⁴⁾ prawowitem.

podrzuconem, nie okazuje najmniejszych zdolności do kradzieży lub do gry na jakim instrumencie, a co gorsza — nawet cień głupkowatości nie daje mu prawa do tytułu: dobrze urodzonego.

A jednak — jest to dziecię niepospolite; tak przynajmniej twierdzi jego ojciec, Józef Szarak, z profesji ¹⁾ kowal, jego matka, Małgorzata ze Stawińskich, i dziadek Stawiński, młynarz, nie licząc kumów, przyjaciół i wszystkich osób czcigodnych, które miały możność stracić zimną krew przy obchodzie ceremonji ²⁾ Chrztu świętego.

Samo urodzenie Stasia zależało od nieprawdopodobnej kombinacji ³⁾ faktów. Naprzód bowiem musiał Pan Bóg stworzyć dwie rodziny: kowali Szaraków i młynarzy Stawińskich, powtóre — sprawić to, aby jedna z nich miała syna, a druga córkę; a potrzecie — zepsuć we młynie pewną sztukę żelazną i do okucia jej sprowadzić młodego Szaraka w tej właśnie porze, kiedy serce Małgosi rozwinęło się, niby kwiat lilji wodnej na stawie jej ojca. «Istny cud!...», jak słusznie mawiała stara Grzybina, dzieląca czas pomiędzy zamawianie ⁴⁾ chorób i żebranie, które to specjalności ⁵⁾ nadają starkom w jej skim prawa do rozumienia się na cudach.

Ponieważ, według jednozgodnej opinii ⁶⁾ kobiet doświadczonych, i Staś «wdał się» w matkę, ośmielimy się więc jej przedewszystkiem poświęcić

¹⁾ Profesja = zawód; ²⁾ ceremonia = uroczystość;

³⁾ kombinacja faktów = splot zdarzeń; ⁴⁾ zamawianie chorób — zabobonne leczenie przy pomocy słów i ruchów;

⁵⁾ specjalność = tu szczególna zdolność; ⁶⁾ opinja = zdanie.

kilka wyrazów. Jest to tem niezbędniejsze, że kowalowa odegra rolę bohaterki w zdarzeniu, które (ze smutkiem wyznajemy!) nie będzie ani kryminalnym¹⁾ występkiem, ani romansem, wołającym o pomstę do nieba.

Przy grobli, którą tylko w piątej porze roku można przejechać, obok wielkiego stawu, w którym obficie rosły badyle wodne i przeglądał się gaj olszowy, stał młyn. Był to czarny i stary budynek, z oknami o drobnych szybkach, i posiadał przy prawym boku dwa ogromne koła, dzięki którym trząsał się i klekotał od lat trzydziestu, sporo grosza napędzając właścicielowi, Stawińskiemu.

Młynarz miał syna i córkę, właśnie Małgosię. Syna posłał w świat, aby zbadał sposoby otrzymywania najdelikatniejszej mąki, a córkę chował przy sobie. Nie brakło jej niczego, bo ojciec ani na szmatki dziewczynie, ani na domowe porządki nie żałował pieniędzy. Brakło jej tylko pieszczot.

Stary nie był złym człeczyną, obojście jednak miał chłodne, odzywał się rzadko a ostro i tonął w interesach. To młynarczyków pilnował, aby zboża ludziom nie kradli, to frasować²⁾ się musiał, aby chrząkającym pod podłogą młyna wieprzkom dziecięcinę z otrąb regularnie odsypywano, to znowu liczył procenta³⁾ od sum wypożyczonych, odbierał jedne kwoty, a inne w ruch puszczał...

W takich postawiona warunkach, Małgosia żyła tylko z naturą, a kochała swój młyn... Kiedy

¹⁾ Kryminalny = zasługujący na karę; ²⁾ martwić się; ³⁾ odsetki.

w dzień pracowała w sadzie, albo karmiła kury i kaczki wielkie i tłuste, albo pieściła się z krowami, które na głos jej biegły, jak psy, — młyn szumiał i trajkotał poważne, niesłychane melodje. W jego warkocie odzywały się wszystkie instrumenty: skrzypce, bębny, organy; ale grały coś takiego, czego żadna kapela¹⁾, żadenby organista nie powtórzył.

Natura wydawała się Małgosi bardzo wielkiem jeziorem, którego zwierciadło sięgało aż do nieba, a kroplami były: wsie rozrzucone po polu, gaj olszynowy, łąka, młyn, grusze po miedzach, kwiaty jej sadu, ptaki i ona sama... Niekiedy, przypatrując się obłokom, które wychodziły z poza czarnego płotu lasów, przeglądały się w stawie i biegły za zębate wzgórza, — słuchając szumu wiatru, który marszczył wodę i zboże na polach, albo jęku trzciny, chwiejącej się na bagnie, zapytywała: czy własny jej byt nie jest tylko odbiciem się wszystkiego, co widzi i słyszy dokoła, jak te obrazy drzew i nieba, które odbijają się na falach stawu?... Wówczas, bez żadnego powodu, łzy nabiegały jej do oczu. Przeciągała się, jakby z ramion miały jej wyrosnąć skrzydła i porwać nad obłoki, i śpiewała na nieznaną nutę rzeczy, jakich nie było w żadnej pieśni ludowej. Aż ojciec wychodził z młyna i mówił markotny:

— Co ty wyśpiewujesz, dziewucho?... Dałabyś lepiej spokój, bo się ludzie śmieją!...

Zawstydzona Małgosia milkła, ale zato przy-

¹⁾ Muzyka.

jacieli młyn każdy wyraz jej i każdą nutę powtarzał, tylko, że jeszcze składniej i piękniej. I czy podobna było nie kochać go, choć wyglądał jak straszna głowa niebываłego zwierzęcia, na kilkunastu nogach osadzona? choć ziały z paszczy gorącym i pyłem, a wyły i trząsały się jakby jadących groblą chciały pogruchotać ogromnymi kołami?

We święta młyn cichnął. Tylko zardzewiałe chorągiewki na dachu skwierczały żałośnie, a przy stawidłach¹⁾ szemrały cienkie strumienie wody, z płaczem upadając na śliskie koła. Wówczas, jeżeli latem wieczór był ciepły, siadała Małgosia do czołna i płynęła het! na ogromny staw, skąd tylko było widać wierzchy młyna.

Tu, zadumana nad głębią, gdzie jak cienie mknęły ryby okrągłookie, przysłuchiwała się szelestom tataraku na kępach, krzykom zwołujących się ptaków wodnych, albo, zwiesiwszy głowę na krawędz czołna, patrzyła, jako z dna stawu wypływają gwiazdy jedna za drugą, a na powierzchni fali drży długi snop księżycowego światła. Niekiedy widywała cieńsze od pajęczyny szaty, które dziewice wodne wieszały na kroplach nocnej rosy... To welon... to płaszcz, a to... suknia powłóczysta... Płynęła ku nim, lecz wiatr odrzucał je na łakę, nad którą wnet tworzyło się jezioro mgły srebrno-białej, pełne płasających blasków i cieniów... Kto się tam bawił i dlaczego jej nie dopuszczano?..

Tymczasem nadchodziła północ. Łódka po-

¹⁾ Stawidła = zastawa do zatrzymywania lub puszczania wody na koło młyńskie,

czyniała drzeć, między kępami rozlegały się ciche pluskania, poza trzciną zapalały się światła tajemnicze i blade. Zdradziecka mgła zasnuwała drogę Małgosi, i słyhać było, jakby kto szeptał po kępach: «Hej! hej!... nie wyjdzie stąd dziewczyna!...»

Ale nad samotną czuwał młyn, wierny przyjaciel. Nagle drobnoszybne oczy jego w oponę mgły rzuciły płomienie, czarne, wielonożne cielsko poczęło dygotać, i w tej samej chwili doleciał uszu otumanionej dziewczyny znany jej, hukliwy głos, który wołał z gorączkowym pośpiechem:

— Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...

Teraz dziewczucha spokojnie odkładała wiosło, bo porwany w ogromną paszczę młyną prąd wody sam ku stawidłom niósł czółno. Kładła się na dnie łódki, jak senne dziecię w łagodnie bujanej kołysce, z uśmiechem patrzała na blade płomyki, skaczące z gniewu nad bagnem, i na chłodne, wilgotne sieci dziewic wodnych, które ją omotać chciały. A stary młyn coraz mocniej gniewał się i krzyczał: «Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!... Małgoś!...» — niespokojny o swoją dziewczynę. Wreszcie dziób łódki uderzał o belkowanie mostu.

Jednej nocy, wyskoczywszy po takiej wędrówce na brzeg, zobaczyła na moście ojca. Stał oparty o poręcz i z uwagą patrzył na siejącą się wodę. W Małgosi serce zadrżało na myśl, że i on czuwa nad nią, choć taki z pozoru obojętny. Wbiegła na most i, przytuliwszy się do ramienia ojca, rozmarzona spytała:

— Tatuniu! a kogoście tu wyglądali?...

— Myślałem, że chłopci ryby kradną! — od-

parł stary i ziewnął. Potem podrapawszy się, z wolna pociągnął do chaty.

Nigdy jeszcze Małgosia nie czuła się tak samotną i opuszczoną, jak w tej chwili, i nigdy mocniej nie pragnęła, aby przecie i ją ktoś kochał. Teraz zdawało się jej, że stolarz z miasteczka, skąpy i brzydki wdowiec, który jadł za trzech, miał płaskie piersi i nogi rozbiegłe jak widły, że stolarz ten jest człowiekiem bardzo dorzecznym. A już o mielniku¹⁾, który dzierżawił wiatrak o dwie mile stąd, często się śmiał i wogóle za głupkowatego uchodził, nie mogła myśleć bez wzruszenia!... Nawet, podobne do podługowatych worków z mąką, chłopaki jej ojca, ludzie ordynarni i kłótlivi, w obecnym nastroju duszy wydawali się jej posiadającymi dużo zalet, choć kilka miesięcy temu, patrzeć na nich nie mogła bez ckiwości.

5

W tem ciężkiem położeniu znowu młyn postanowił przyjść jej z pomocą i pewnego dnia — pęklł we środku z wielkim hałasem... Aż omączone młynarczyki pobladły ze strachu, a Stawiński rzucił czapkę o ziemię!... Czem prędzej wstrzymano wodę i poczęto radzić, a nawet zaczepiać wszystkich, którzy przejeżdżali po grobli. W całym domu zapanował bezrząd. Chłopcy sejmikowali²⁾ na moście, ku zgorszeniu podróżnych. Stary nie chciał

¹⁾ Młynarzu; ²⁾ sejmikować = gromadnie naradzać się.

jeść obiadu i poczał kłać się na wszystkich świętych, że pewno niezadługo umrze, a wieprzki, które mieszkaly pod młynem, widząc, że nikt im nie sypie otrąb, kwiczały, jakgdyby nadchodził koniec świata.

Wśród zamętu, ze sto razy wymieniono nazwisko kowala Szaraka, a wreszcie jeden z chłopców zaprzął konika do wozu i pojechał w stronę miasta. Małgosię ogarnął taki strach, jak onego dnia, kiedy to, zaziębiwszy się, wyglądała felczera ¹⁾, który miał jej stawiać bańki. Przyczesала włosy, wciągnęła nowe trzewiki i wybiegła przed młyn, który, narobiwszy takiego kwasu wszystkim, rozwał się teraz nad groblą i wyszczerzał zęby — bardzo kontent!...

Zaczerniała noc, powiał wiatr chłodny, i dziewczyna musiała iść do swej komory. Ledwie ukladła się, gdy zatrajkotało na dworze, i jakiś głos obcy doleciał ją od strony młyna. «O Jezu!...» — pomyślała Małgosia i, pędem odziaswszy się, dalejże ładować wódkę, rozdmuchiwać ogień i grzać kiełbasę z sosem. W kwadrans wszystko było gotowe, czegoby rozespana służąca i przez godzinę nie zrobiła.

Tymczasem kowal, obejrzawszy młyn, jak baba chorego, przyszedł ze Stawińskim do chaty. Już w sieni zaleciała go woń wereszczaki ²⁾, i aż uśmiechnął się, tak mu było przyjemnie, że go młynarz szanuje i do północy z kolacją czeka. Zdziwił

¹⁾ Felczer = pomocnik lekarza; ²⁾ wereszczaka = słonina smażona.

się jednak, zobaczywszy w izbie stół ślicznie nakryty, na nim dymiący półmisek i dwa krzesła naprzeciw siebie, ale gospodyni — ani okruczał!

Zafrasowany młynarz przepił do niego wódką, zaprosił do jedzenia i sam jadł, milcząc, jak to było w jego zwyczaju. Dopiero po kolacji odezwał się:

— Małgoś!... a trzebąby do młyňa posłać poduszkę i derkę, bo pan kował będą nocowali u nas.

Wyszła Małgosia czerwona, że aż jej wstyd było. Ze złości na siebie miętosila fartuch w rękę i patrzała w ziemię. Ale kiedy podniosła żrenicę i ujrzała młodą, wesolą twarz kowala i jego oczy, z pod czarnych brwi błyszczące, parsknęła śmiechem i wybiegła do sieni wydać rozkazy służącej. Kował także się śmiał, sam nie wiedząc z czego, a ciągle zmartwiony Stawiński mruczał pod nosem:

— Atł czysta kozal... Ludzi rzadko widuje, i dlatego taka chichotliwa... Głupie to jeszcze, ma dopiero ośmnaście lat...

Na drugi dzień Szarak o świcie wziął się do roboty, lecz nim wyrzchtował¹⁾ kowadło i przy ognisku miech urządził, już mu podano śniadanie. Pierwszy raz w życiu Stawiński przyznał, że jego córka jest dobra gospodyni i dba o gości! Ale młynarskie serce jego nie mogło się oprzeć wzruszeniu, gdy zobaczył, jak Małgosia frasuje się o młyn, jak tam często zagląda i o wszystko zapytuje Szaraka. Mniej mu się już podobało to, że kował dużo gada w ciągu roboty, albo pokazuje takie naprzykład sztuki, jak chwytywanie golemi palcami żelaza do

¹⁾ Przygotował.

białości rozgrzanego. Milczał jednak stary, widząc, że majstrowi pali się robota w rękę, i że, choć po-
baraszkuje¹⁾ chwilkę, to jak zacznie kuć — aż zie-
mia stęka!...

Naprawianie trwało parę dni. W ciągu tego
czasu kowal i młynarzówna zaprzyjaźnili się bar-
dzo, a wieczory przepędzali stanowczo razem,
i tylko we dwójkę, bo uspokojony Stawiński począł
znowu zajmować się interesami i na córkę mniej
zważał. Otóż ostatniego wieczoru, siedząc pod chatą
na ławce, taką młodzi prowadzili rozmowę, półgło-
sem coprawda, bo im tak szło najskładniej.

— To pan Józef mieszka o pół mili za mia-
stem, na górze? — spytała dziewczyna.

— Ale! ale!... na onej, co do łąki idzie, co to
jest płot chróściany i trochę drzewin — odparł
kowal.

— Jakiby tam sad byli! Zarazbym nasadziła
buraków, kartofli, fasoli i kwiatów, żeby to moje!

Kowal spuścił głowę i milczał.

— I chatę pan Józef ma ładną. To ta, co przy
niej studnia z żorawiem?

— Juźci że ta, ale co nie ładna, to nie ładna!...
Niema komu dbać o nią...

— Żeby tak na mnie — mówiła Malgosia —
obieliłabym ją, jak się patrzy, w oknabym dała fi-
ranki i doniczki, w izbie zawiesiłabym wszystkie te
obrazy, co mam... Czemu pan Józef tak nie robi,
zarazby mu przecie było weselej?...

Kowal westchnął.

¹⁾ Baraszkować = żartować, bawić się.

— Eh! — rzekł — żebyśmy tak bliżej mieszkali, toby mi Małgosia zaraz ochoty dodała i poradziła, gdzie co zrobić!...

— Oj! oj!... samabym nawet zrobiła, jakby pan Józef poszedł do kuźni...

— Ale na taką dalekość — ciągnął kowal, biorąc dziewczynę za palec — toby pewnie Małgosia nie chciała odejść starego?

Teraz młynarzówna umilkła.

— Okrutnie mi się Małgosia podobała, sprawiedliwie mówię!... Psiakość!... jak człowiek teraz wróci do domu, to rady sobie nie da!... Ale Małgosi nic po tem!... Małgosi toby się jaki rządca¹⁾ parzył?...

— Ja przecie wiem, co pan Józef jest wart! — ofuknęła go dziewczyna, odwracając głowę. — O żadnych tam rządcach nie myślę, tylko o tem, żeby...

I znowu umilkła, ale teraz kowal wziął ją już za całą rękę.

— No — spytał nagle kowal — a poszła by Małgosia za mnie?...

Tchu jej zabrakło.

— Ja tam nie wiem!... — odparła.

W tej chwili Szarak schwycił ją wpół i pocałował w odchylone usta.

— I i i... z takimi żartami!... — syknęła obrażona, wyrwała mu się z objęć i wpadła do chaty, zasuważąc drzwi za sobą.

Tej nocy żadne z nich nie spało.

¹⁾ Rządca — rozumie się — gospodarstwa we dworze.

Na drugi dzień zakręcono ostatnie śruby i podniesiono stawidła. Potok wody lunął z szumem na usychające z nudów koła, które zachwiały się i zaczęły obracać. Młyn szedł doskonale!...

Stawiński, aby się nie zdradzić, przyciął wargi, ale mu ręce drżały z radości. Obejrzał wszystko, nawymyślał młynarczykom, a wreszcie zaprosił kowala po pieniądze do chaty i postawił butelkę miodu.

Kiedy wykładał na stół najnowsze papierki, Szarak drapał się w ucho i markotnie uśmiechał. Młynarz spostrzegł to i zapytał:

— A co, synku, jeszcze ci krzywda, żeś mi dwadzieścia i trzy ruble z kieszeni wypłoszył?

— Za takie wyrychtowanie młyna, toby mi się córka od was należała! — szepnął Józef.

— Co?... — krzyknął stary — może wolisz dziewczuchę, niż pieniądze?...

— Wolę i to, i to...

Stawiński spojrzał mu bystro w oczy.

— Ale ja za nią teraz gotówki nie dam, dopiero po mojej śmierci! — rzekł.

— Dłużej mnie, niż wam na świecie! — odparł Szarak i pocałował go w rękę. — Bez wyprawy przecie dziewczuchy nie oddacie, a mnie już samemu tak nudno, osobliwie, jak zima przyjdzie, że...

Za otwartem oknem mignęła się głowa Małgosi.

— A chodź ino tu!... — zawołał ojciec.

— Ja tam nie pójdę!... — odparła, zasłaniając oczy — niech tatunio sami uradzą!...

Stawiński pokiwał głową.

— Oj, kowalul kowalul... — rzekł — nie stracię tu, jak widzę, czasu napróżno. Ha! kiedy takie zrządzenie Boskie, to ci oddam dziewczuchę, boś dobry majster, i wiem, żeś dostatni... Ino mi nie krzywdź dziecka, bo tegobym ci nie darował...

W kilka tygodni później odjedzono, odpito i odtanowano wesele Małgosi z kowalem. Przy okazji pogodziło się z sobą dwóch oddawna zwaśnionych sąsiadów, a pokłóciło się czterech. Jeden z młynarczyków Stawińskiego, podpiwszy sobie nieco, przysiągł, że się z desperacji ¹⁾ utopi, lecz poprzestał tylko na upiciu się dokładniejszym. Natomiast pewien gospodarz, który oddawna miał zamiar wyrzec się wódki, wleciał niechcący w staw i od swej żony otrzymał energiczne napomnienie. Już w pierwszym dniu wesela, widłonogi stolarz i wiecznie śmiejący się posiadacz wiatraka, którzy obaj konkurowali o Małgosię, zaczęli rozpowiadać znajomym i nieznanym, jako dziewczyna ma defekt ²⁾, a jej ojciec bawi się lichwą, skutkiem czego we młynie straszy i ludziom wykrada zboże z worków. Każdy z zawiedzionych konkurentów upewniał, że nigdyby się z młynarzówną nie ożenił, a tymczasem — państwo młodzi wyjechali do kuźni...

Tu Małgosia święcie dopełniła obietnicę. Odnowiła chatę, oplotła ją dzikim winogradem, ozdobiła wewnątrz obrazami i sprzętami i założyła piękny ogródek na wzgórku, który do łąki spadał. Pod jej nadzorem zwiększył się i wyprzystojniał do-

¹⁾ Desperacja = rozpacz; ²⁾ brak, ułomność.

bytek kowala, chata wyglądała jak dworek szlachecki, a on sam, Szarak, sprawił sobie nowy fartuch skórzany, tak wielki, żeby z niego dwóch porządnych Warszawiaków wykroił, i jeszczeby coś zostało na Warszawiankę...

Wśród tych zajęć upłynął rok młodemu gospodarstwu. Przyleciały bociany z wiosną, osiadły na prastarem gnieździe na stodółce i, jak zaczęły klekotać a klekotać, tak wkońcu wyklekotały małego Stasia. W dniu tym kowal zamknął warsztat, dziadek Stawiński przyjechał o czubatą milę drogi oklep¹⁾ i rzewnie rozplakał się, zobaczywszy tłustego, różowego wnuka, który krzychał, jakby ze skóry odzierany, a na rączkach i nóżkach miał tyle dolków, ile kosteczek.

W podobnych warunkach znalazłszy się, piękne damy zasłaniają okna grubemi roletami²⁾, sprawiają sobie do pomocy mamki sztuczne i naturalne, i przez miesiąc z okładem odpoczywając w haftowanym negliżu³⁾, jakby świat zbudowały, przyjmują powinszowania od pań i panów, półgłosem gadających po francusku. Ponieważ jednak Małgosi sztuki te były nieznane, więc już w 48 godzin wzięła się do roboty, a dziadek za nią chorował — naturalnie z radości. W kilka dni poznał już swego wnuka do gruntu, odkrył w nim wielkie zdol-

¹⁾ Na koniu bez siodła; ²⁾ rolety = zasłony w oknach; ³⁾ negliż = strój domowy.

ności młynarskie i pierwszy przyznał, że nie zdarzyło mu się widzieć równie mądrego, jak Staś, dziecka, nawet między szlacheckimi!...

A nowonarodzony tymczasem przechodził ciekawą i pełną tajemnic epokę niemowlęstwa, której niejasne wspomnienia odnajdujemy niekiedy w snach, uchylających jakby wrota przedświadomego życia.

Wyobraźcie sobie prostaka, którego w jednej chwili zasypują sprawami całego społeczeństwa. Są tam kwestje artystyczne i przemysłowe, filozoficzne i rolnicze, zbrodnie i cnoty, a między nimi mnóstwo interesów, od których zależy jego własne istnienie. On musi to wszystko uporządkować, sprawy swoje oddzielić od obcych, w jednej godzinie uczyć się praktycznych wskazówek na potrzeby drugiej i nie upaść pod brzemieniem pracy!...

W tem położeniu znalazł się pewnego dnia Staś. Po długim śnie przedbytowym spadł na niego uragan¹⁾ wrażeń. Powietrze drażniło mu skronie i płuca, do oczu skakały barwy białe, szare, niebieskie, zielone, czerwone, we wszelkich kombinacjach i odcieniach, a z nimi tysiące form ożywionych lub martwych. Słyszał rozmowy ludzi, łoskot własnej kołyski, bulgotanie gotującej się wody, brzęk much i skomlenie szczeniątka, Kurty. Czuł ucisk powijaków, odcienie temperatury, zmieniającej się co chwila, a wkońcu — głód, pragnienie, senność i ruch własnych członków. Wszystko to nieuporządko-

¹⁾ Gwałtowny wichur, uderzenie.
Przygoda Stasia.

wane, chaotyczne¹⁾), natrętne, kipiało w głębi jego drobniutkiej, ledwie budzącej się egzystencji²⁾). Nie umiał wskazać, skąd przychodzi głód, a skąd biały kolor, albo łoskot młotów, bijących w kuźni. Czuł tylko zmęczenie i kwilił biedak, drżąc z zimna. Jedyną rozrywkę jego stanowił sen, który mu co chwila przerywano i — możliwość ssania. To też ssał jak pijawka, spał i krzyczał, a ludzie dorosli kiwali głowami nad jego niedołęstwem! Słyszycie?... niedołęga nazywali osobę, która w tak straszny odmęt wpadła i tyle spraw obowiązana była załatwić!...

W tej epoce³⁾) Staś nie odróżniał jeszcze swej matki od siebie samego, a gdy mu się jeść bardzo chciało, ssał wielki palec własnej nogi, zamiast matczynej piersi. Śmiano się z tego, choć znamy przecież ludzi pełnoletnich i rozumnych, którzy, zamiast własnej dwudziestogroszowej laski, zabierają cudze, dwurublowe kalosze...

Po ciężkiej pracy i kilkomiesięcznych doświadczeniach doszedł Staś do wielkich rezultatów. Udało mu się uchwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kotyksi, a nawet między łonem matki a sieniczkiem. W tym czasie był już bardzo mądry. Wiedział, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy koncentrują⁴⁾) się wszystkie możliwe hałasy, w drugich — wszelkie barwy, i że trzeci punkt służy do ssania.

W kilka miesięcy później porobił jeszcze wię-

¹⁾ Chaotyczny = pomieszany; ²⁾ egzystencja = istnienie; ³⁾ epoka = okres; ⁴⁾ koncentrować się = zbierać się.

cej odkryć. Odróżniał już wypadki złe od dobrych i rzeczy ładne od brzydkich. Dawniej uśmiech i płacz, marszczenie czoła i wyciąganie rąk albo nóg, następowały po sobie bez żadnego porządku; posługiwał się niemi, jak początkujący grajek klawiszami fortepianu, których dotyka, nie wiedząc, co z tego wyniknie. Dziś śmiał się tylko na widok matki, która mu jeść dawała; płakał po kąpieli, przeciw której protestowały wszystkie jego dwunożne instynkta ¹⁾), marszczył się na widok powijków, krępujących ruchy dzieciom, a do garnczka z ocukrzonem mlekiem wyciągał rączki i nóżki.

Teraz poczęły się w nim tworzyć sympatje i antypatje ²⁾), obawy i nadzieje. Lubił Kurkę, ponieważ pies był ciepły, lizał go i miał mordę jak aksamit. Lękał się ciemności, wśród której można się było rozbić; tęsknił do sadu, gdzie pełną piersią się oddycha i gdzie harmonijny ³⁾) szmer drzew, powtarzając rytmy ⁴⁾) pieśni matczynej, kołysał dziecko do snu. Barwy szare, które przypominały twardą podłogę, lub niezawsze suchy sienniczek, nie podobaly mu się. Natomiast barwy czerwone i niebieskie, przedmioty błyszczące — podniecały go do śmiechu. Wiedział już, że płomień świecy, aczkolwiek ładny i skacze, nieuczciwie jednak obchodzi się z palcami dziecka. Pamiętał też, że nogi ojca są twarde, czarne i większe od całego Stasia, a nóżki

¹⁾ Instynkt = nieświadomiony popęd; ²⁾ antypatja = niechęć; ³⁾ harmonijny = zgodny; ⁴⁾ rytm = harmonijne, stałe, powtarzające się następstwo dźwięków lub akcentów

matki są tak niskie, że zaczynają się i kończą przy samej ziemi.

Dla matki czuł bezwzględna miłość, ona mu bowiem najwięcej sprawiała przyjemności. Ojciec zaś cieszył się o tyle względami Stasia, o ile on posiadał zaciekawiające wąsy, tudzież najponętniejszą w świecie rzecz — zegarek. Zato pieśzczoły ojcowskie nie nęciły go; bawił bowiem wtedy chłopca, gdy mu się jeść albo spać chciało, niemiłosiernie drapał go szorstką brodą i ogromnemi, niezgrabnemi rękoma gniótł jego młode i wątłe kosteczki. Jedna tylko rzecz sprawiała, że Staś na widok ojca wyciągał niekiedy rączki i śmiał się: oto — huśtanie. Niewygodnie, coprawda, było dziecku w tych potężnych ramionach, ale zato jak one go podrzucały wysoko, jaki się robił wicher około niego, jak mu włoski rozpraszał i koszulkę podwiewał...

Staś już umiał się bawić i figlować. Niekiedy matka brała go na kolana, a ojciec siadał naprzeciw i prosił:

— Chodź, Stasiu, do mnie, chodź!...

On niby idzie, wyciąga ręce, lecz nagle odwraca się i bęcl... twarzą o ramię matki. Już Stasia niema ani na lekarstwo w całym domu, a przynajmniej — on sam nikogo nie widzi.

Czasami ojciec postawił go na stole i trzymał pod boczki, a matka się chowała. Chowa się matka za ojca z prawej strony, a Staś — myk główkę na prawo i już ją znalazł... Chowa się matka za ojca z lewej strony, a Staś — myk główkę na lewo i znów ją znalazł. Dziecko bawiłoby się tak cały dzień, ale cóż, kiedy ojciec musiał iść do kuźni, a matka

do swoich krów! Kładziono wtedy malca do kołyski, i robił się ogromny harmider w domu, aż Kurta szczekał!...

Chłopiec niekiedy stawał na głowie, ale wnet zmiarkował, że pozycja ¹⁾ to niewygodna, i że najodpowiedniejsze dla natury ludzkiej jest chodzenie — na czworakach. Dzięki tym ruchom przekonał się, że ściany, krzesła i piec nie siedzą w jego oku, lecz gdzieś zewnątrz, znacznie dalej, niż na długość ręki.

Potężnie wzrastające siły muskularne zmuszały go do wykonywania pewnych prac. Najczęściej polegały one na przewracaniu małego stoleczka, biciu łyżką w podłogę, lub bujaniu kołyską. Ponieważ zaś przez jakiś czas sypiał w niej razem z młodym Kurtą, pies więc, zobaczywszy kołysanie, wskakiwał na sienniczek i rozkładał się, jak hrabia! To bezczelne nadużycie praw doprowadzało Stasia do zazdrości; krzyczał więc dopóty, dopóki psa nie wypędzono i nie ułożono jego samego w kołysce.

Później zaczęto go uczyć bardzo trudnej sztuki chodzenia. Chłopca bawiło to, że się tak wysoko wznosi nad ziemią; rozumiał jednak związane z przyjemnością niebezpieczeństwa i nader rzadko oddawał się jej bez pomocy osób starszych. W takim razie, naprzód — stawał; potem podnosił lewą rękę i prawą nogę, wyginał ją ku środkowi i prawnym brzegiem stopy — plusk o ziemię! Następnie podnosił prawą rękę i lewą nogę, wyginał ją do

¹⁾ Położenie.

środką, kulił palce i lewą krawędzią stopy — plusk o ziemię! Po kilku tak skomplikowanych ¹⁾ ruchach, nie posunął się ani na krok z miejsca, ale zato dostawał zawrotu głowy i upadał. Wówczas myślał, że jakkolwiek chodzenie na dwóch nogach dogadza ludzkiej próżności, niemniej jednak tylko suwanie się na czworakach ma wartość praktyczną. Widok osób, chodzących na dwóch nogach, budził w nim takie uczucia, jakich doświadczaćby musiał człowiek rozsądny, dostawszy się między gromadkę skoczków na linie. Z tego powodu bardzo szanował Kurtę, posługującego się wszystkimi czterema kończynami, i marzył o tem tylko, aby mu dorównać kiedyś w bieganii.

Widząc niepospolity rozwój duchowych i fizycznych przymiotów dziecka, poczęto myśleć o jego edukacji ²⁾. Nauczono go mówić: «tata», «mama» i «Kurta», który przez pewien czas nazywał się tak samo jak «tata», kupiono mu wysoki stołek z poręczą i podarowano piękną łyżkę lipową, którą Staś od biedy mógłby sobie głowę nakrywać. Ojciec, naśladujący we wszystkim matkę, chciał też jednakoż swemu prezent zrobić i w tej myśli przyniósł pewnego dnia śliczną dyscyplinę na sarniej nóżce. Gdy Staś wziął do rąk cenny podarunek i zaczął ogryzać czarne dwuzębne kopytko, matka zapytała męża:

— Pocoś ty to przyniósł, Józik?

— A na Staszka.

¹⁾ Skomplikowany = złożony; ²⁾ edukacja = wychowanie, tu kształcenie.

— Jakże? to ty go będziesz walił?

— Co go nie mam walić, kiedy on będzie taki wisus, jak ja.

— Widzicie go!... — krzyknęła matka, tuląc syna. — A skądże ty wiesz, że on będzie wisus?...

— Niechno by nie był... tobym go dopiero prał!... — odparł dobrodusznie kowal.

Ponieważ w tej chwili Staś zaczął krzyczeć, rozgniewał więc matkę i nagiął ją do opinii ojcowskich. Rodzice nie sprzecali się już, uznali środek za niezbędny i zawiesili dyscyplinę na ścianie, między świętym Florjanem, który od niepamiętnych czasów jakiś pożar gasił, i zegarem, który od dwudziestu lat napróżno usiłował chodzić dobrze.

Niezależnie od pierwszych zasad moralności, opartych na sarniej nóżce, starał się kowal o nauczyciela dla syna. Był wprawdzie we wsi stały pedagog¹⁾, ale ten więcej zajmował się pisaniem denuncjacyj²⁾ i próbowaniem dobroci wódek, aniżeli elementarzem i dziećmi. Chłopi i Żydzi gardzili nim, a coś dopiero Szarak, który nie myślał bynajmniej obciążać nauczyciela edukacją swego syna, lecz odrazu zwrócił się do organisty.

— Ma teraz Staszek piętnaście miesięcy — myślał kowal — za jakie trzy lata matka nauczy go czytać, a za cztery — trzeba go oddać organiście...

¹⁾ Wychowawca, nauczyciel; ²⁾ denuncjacja = donos, potajemne oskarżenie. Mowa tu o rosyjskim nauczycielu.

Tylko cztery lata!... Dziś więc już wypadło zaskarbić sobie względy sługi Bożego, który golił się jak ksiądz, nosił długie czarne surduty, mówił przez gardło i wtrącał do rozmowy łacińskie wyrazy z ministrantury ¹⁾).

Nie zwłószcząc tedy, zaprosił Szarak jednego razu organistę do Szulima na miodek. Pełen namaszczenia artysta kościelny utarł nos w kraciastą chustkę, odchrząknął i — zrobiwszy taką minę, jakby chciał wypowiedzieć kazanie przeciw trunkom góracym — doniósł Szarakowi, że dziś, i zawsze, i przez wieki wieków gotów jest chodzić z nim do Szulima na miodek.

Organista był dumny, drażliwy, a nade wszystko — miał słabą głowę. Już przy pierwszej butelce zaczął bredzić, a przy drugiej rozczył się i zawiadomił Szaraka, że go uważa prawie za równego sobie.

— Bo to widzisz, mój... Panie Święty!... jest tak. Mnie, jako organiście, miechem dmą, i tobie, jako kowalowi... Panie Święty!... także miechem dmą... Więc... niby już wiesz, co chcę powiedzieć? Oto, że kowal i organista — to bracia... Cha! cha!... bracia! Ja, organista, i ty — smoluch!... *Misereatur, tui omnipotens Deus!* ²⁾)

Szarak, zwykle wesoły, przy butelce robił się ponurym. Nie zdołał więc ocenić komplementu ³⁾)

¹⁾ Ministrantura — słowa modlitw łacińskich, wypowiedziane przy Mszy św. przez służącego księdzu do Mszy;

²⁾ niech zlituje się nad tobą wszechmogący Bóg!; ³⁾ komplement = grzeczne, pochlebne powiedzenie.

współbiesiadnika i odparł tak głośno, że go Szulim i kilku gospodarzy usłyszało:

— Bracia nie bracia!... kował to prędzej do ślusarza przytyka, a organista... jak zwyczajnie organista — do dziada!...

— Co?... ja do dziada?... — krzyknął obrażony mistrz, przesywając kowala płomieniejącym wzrokiem.

— A jużci tak!... Przecież wy się nawet modlicie za pieniądze i gracie ładniej, kiedy wam kto...

Nie dokończył Szarak, w tej chwili bowiem otrzymał butelką tęgą cios powyżej ciemienia, tak, że szkło na sufit bryznęło, a lepki miód rozlał się po twarzy i świętecznych szatach kowala.

— Łapajcie go! — krzyknął poszkodowany, nie wiedząc, czy się ocierać, czy gonić organistę, który uciekał po linji, według jego zdania najkrótszej, lecz w każdym razie bardzo pogiętej.

Teraz obecni wdali się między obrażonych. Wyrzucili za drzwi organistę i poczęli mitygować ¹⁾ kowala, który nie posiadał się z gniewu.

— Dam ja ci, dławidudo!... — wrzeszczał Szarak, ujrzawszy za oknem uroczystsza niż kiedykolwiek fizjognomję ²⁾ organisty.

— Józefie!... kumie!... panie kowalu!... — perswadowali ³⁾ pośrednicy — uspokójta się!... Co się wam gniewać na pijanego?... On durny, on sam nie wie, co robi...

— Zbiję rozbójnika na nie!

¹⁾ Łagodzić; ²⁾ fizjognomja = twarz; ³⁾ przekonywali.

— Dajta spokój, panie Szaraku!... Co to bić?... bić nie każdego wypada... On-ci także duchowna osoba i zaraz po wikarym pierwszy!... Jeszczeby was Bóg skarał...

— Nic mi nie będzie!... — odparł kowal.

— No, że wam nic... Ale macie żonę, dziecko!...

Ostatnie wyrazy cudowny wywarły skutek. Na myśl o żonie i dziecku, rozbestwiony kowal uspokoił się i nawet usiłował stłumić w sobie uczucie zemsty. Jużci co prawda, to prawda, że organista idzie zaraz po wikarym; a nużby się Pan Bóg za obicie go rozgniewał i na żonie lub dziecku krzywdy dochodził?...

Wyszedł z karczmy okrutnie markotny.

— O! z temi dziećmi — myślał — to ci kłopot!... Mam dopiero jednego, a już muszę suszyć głowę o wynalezienie nauczyciela, tracić pieniądze na miód!... Jeszcze mnie zato przy ludziach poniewierają, i swego oddać nie mogę, bo mi o dziecko strach... Oj! Stachu, Stachu!... żebyś ty choć wiedział kiedy, co ja za ciebie wycierpiałem!... Daj Boże, żeby mnie choć żona nie zbeształa!...

W domu nie obeszło się bez hałasu, ale odtąd Szarak jeszcze bardziej kochał syna, o którego edukacji myślał tak wcześniej, i za co mu na głowie flaszkę miodu rozbito. Poczciwy kowal w parę miesięcy zapomniał o swojej krzywdzie, lecz strasznie było mu przykro, że się pogniewał z organistą, jedynym mężem, który mógł pokierować wychowaniem synka, co już sam chodził, gadać umiał i wogóle niepospolite okazywał zdolności.

Tymczasem nadeszło lato, a z niem chwila, w której nadspodziewanie dobrze miały się zakończyć ojcowskie kłopoty kowala.

•

•

Pewnego dnia położyła matka Stasia w sędzie pod gruszą, podesłała mu plachtę, podwinęła koszulkę i mówi:

— Spijże tu, chłopak, i nie drzyj się, ty jagódko moja najśłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało! A ty, Kurta, ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapę tyczki i tak wam kości porachuję!...

Ale na samą myśl wykonania groźby, schwyła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycalowała i wyhuśtała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?... To Kurte psubrata, nie ciebie!... Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedynenki, złoty!... Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata!... nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasiénka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!... lu!... lu!... lu!... lu!...

A Kurta tył pod siebie zawinął, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo, jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli

sobie: «Gadaj ty zdrowa, a ja, co wiem, to wiem, że ile razy sienniczek Staszku suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słyszać było!...»

Tak sobie myślał Kurta pyskaty, ale milczał, wiedząc, że od najlepszych racyj¹⁾ mocniejszy jest — ożóg, którym wszyscy domownicy, a gospodyni najpierwsza, mitygowali jego psie pretensje²⁾).

Staś tymczasem tarł oczy tłustemi pięstuszkami i lniano-włosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnieby jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tym garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!...

Chłopiecby już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i lulala, śpiewając:

Cóżeś wskórała,
Ześ wędrowała
Po zielonej olszynie?
Jam choć to zyskał,
Lżem się wyspał
Na puchowej pierzynie!..

Dopiero gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język i, oglądając się, poszła w głąb sadu.

¹⁾ Racja = powód rozumny; ²⁾ pretensja = przypisywanie sobie, zwykle niesłuszne, jakichś szczególnych praw.

Staśkowi plachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc, choć mu nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać po niej. Ale że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał, i zamiast przed siebie, patrzył pod siebie, na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesić po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na plachcie i usiłował rozplatać nożęta; ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny, jak najtęższy chłop: pokłada czleka pierwej, nim się z nim zacznie borykać...

Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długimi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z ponsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rozczochrana nać¹⁾ kartofli, jaskrawe słoneczniki

¹⁾ Nać = lodygi i liście jarzyn,

i blado-różowe makówki kiwały się, jak Żydzi w bożnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka przecież Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola!...

— Aj! zbytki! zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia! — szemrały czerwonogłowe makówki, pogładające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki, szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzić!...

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić.

— Co to za świat! — myślał — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robi w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kuja?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń!... a chłopcy wielkimi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział...

I z rozpaczą nad powszechnem lenistwem,

upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękała, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć...

Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nadstawiających uszy, jak palce... — Ach, damże ja wam, hultaje! — szczerknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!...

Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły się, jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tę bieganinę, wołali: «Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpoczniesz!...»

A Kurta wyciągnął się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki i, kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz, jak kłoda, i drzemiesz!...

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami.

— Widzicie ją, darmozjada!... Ona mi tu będzie leżenie wymawiała, kiedy ja zające wyganiam z kapusty!...

I nie chcąc na obronę swego honoru *) czasu tracić, wyciągnął się jeszcze lepiej i — wrócił do

*) Honor = cześć.

— 32 —
czynności. A mucha wciąż krążyła nad nim, choć się marszczył i pazury nadstawiał, i piszczała:

— Oj! ty!... ty!... kundlu jakiś, legarcie!... ¹⁾
Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!...

I od tej chwili, koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni, wszystko to w takt ²⁾ szemrało:

— Leń Kurta!... leń Kurta!... leń Kurta!...

Ale pracowity Kurta wyciągnął się pod gruszą i precz gonił zajace!

Gdy tak Staś i Kurta spali ładnie pod chuchaniem ciepłego wiatru, Szarakowa obrała liszki z kapusty, oporządziła buraki i poczęła rwać w przetak sałatę na obiad. Dobrze to ziele żyło sobie w kącie sadu, przy chróścianym płocie, co biegł wzdłuż drogi. Gospodyni klękla nad niem ostrożnie i, wybierając młode listki, myślała: jak się też sałata ucieszy, kiedy ją w gorącej wodzie z kurzu omyją, poleją octem i słoniną okraszą?

Narwała już z pół przetaka, prawie tyle, ile było potrzeba, gdy na drodze rozległ się szmer drobnego, powłóczystego chodu i stukanie kija o ziemię. Jednocześnie usłyszała Szarakowa jakby rozmowę:

— Ustatkujesz ty się wkońcu, ha?... — pytał zmęczony głos niewieści.

¹⁾ Legart = próżniak; ²⁾ w takt = w jednakowych odstępach czasu.

Kowalowej zdawało się, że odpowiedział na to krótki, niewyraźny szelest, jakby kto kij ciągnął po piasku. Potem znowu nastąpiło kilka kroków i stukanie, połączone z owym osobliwym szelestem.

— Psia wiarą! — mówił głos gniewnie. — Tak mi się wywdzięcza, że mu tyle świata pokazała!... Zgniłby gdzie pod płotem, albowy się palił w żarze, jak dusza potępiona, żeby nie ja... Durny!...

Zaszeleściło znowu.

— A durny jesteś! mówię ci. Z pastuchami tobie najlepsza kompanja ¹⁾, nie ze mną.. Byłbyś mądry, gdyby cię psy zgryzły, albo na świńskich kościach połamali. Kuternoga!...

Kowalowa podniosła się i o kilkanaście kroków od płotu ujrzała na drodze zgrzybiałą starowinę z wysokim kijem w ręku, a z pod chusty wymykały jej się dwa siwe kosmyki, trzęsące się razem z głową.

— Komu tak, matulu, klniecie?... Grzybino!... — zawołała ze śmiechem Szarakowa.

Stara zwróciła się do niej.

— To wy, kowalowa?... — rzekła, idąc do płotu. — Niech będzie pochwalony!... A ja właściwie też do was chciałam wstąpić... od ojca, i byłabym na śmierć zapomniała przez tego Judasza!...

Mówiąc to, podniosła swój kij i potrząsnęła nim gniewnie.

— Cóż tam tatunio do mnie nakazał? — spytała prędko Szarakowa.

— A no... płacze mi się przy nogach i nietylko

¹⁾ Towarzystwo.

nie pomaga, ale jeszcze przeszkadza chodzić. Za to, żem go z gnoju wydobyła!

— A co tatunio mówił przez was?... — powtórzyła niecierpliwie kowalowa. — Byliście we młynie dzisiaj?

— Jużci, że byłam... Ligaj podlec!... — gniewała się dalej baba, rzucając kij na krawędź plotu. — Zamawiałam Sołtysiakowi frybrę¹⁾, co go drugi tydzień trzęsie, i wstąpiłam wczoraj, po drodze, do młyna.

— Tatunio zdrowi?...

— Oj! oj!... Kazał ino, żeby Małgosia przyjechała do niego jutro, ze Staszkiem, a wasz... żeby także na niedzielę był we młynie...

Babina, zapomniawszy widać o swym kiju, oparła się na płocie i mówiła dalej:

— Widzicie tak; organista ten niby wasz, Zawada, kupuje grunt i chce od Stawińskiego, niby od tatunia waszego, pożyczyć 500 złotych. Był we środę we młynie i prosił, ale Stawiński mu na to: «A poco ja wasanowi mam pożyczać pieniądze, kiedy wasan pokrzywdziłeś kowaia i gniewasz się z nim?...»

— Sprawiedliwie mu tatunio powiedział!... — wtrąciła Szarakowa.

— Więc organista na to: «Ja się z kowalem pogodzę i będę mu syna uczył». A stary na to: «Więc się wasan pogódź!» A on na to: «Kiej się boję pójsć do kuźni, bo mnie p o t y r a²⁾). U was byłbym śmielszy, jeszczebym nawet zato parę butelek miodu postawił, żeby się pogodzić...»

¹⁾ Febre; ²⁾ potyrać = źle się obchodzić z kim.

— Wykrętać! — przerwała kowalowa. — A dawne to czasy, kiedy to gadał, co w Piśmie Świętem stoi, że kowale i kominiarze od Kaina i od Chama pochodzą i że się rodzą na bratobójców?... Bodaj on szczeł!... ¹⁾)

— No, jeśli tak w Piśmie Świętem stoi, to organista temu nie winien — zauważyła stara.

— Szczeka! — zawołała w uniesieniu Szarakowa. — My także wiemy, co gdzie stoi... Od Chama pochodzą chłopcy, a mój przecie nie chłop, a od Kaina Turki, a mój przecie nie Turek! Nikogo nie zabił!...

Grzybina lubiła popisywać się wiadomościami wobec «potomków Chama», tym razem jednak milczała dyskretnie ²⁾), pamiętając, że ma do czynienia z osobą piśmienną, z kowalową, a do tego — córą młynarzy Stawińskich!

— Wstąpcie do chaty, odpocznijcie — rzekła nagle gościnna Szarakowa, patrząc na zmęczoną staruszkę.

— Nie mogę! — odparła baba i pochwyciła kij. — Muszę iść do Mateuszowej, krowę jej okadzić, bo ją rozdeło... No! — dodała, wstrząsając kij — a ty się dobrze sprawuj na reszłą drogi, bo cię...

— Co wy gadacie?... — ostrzegła ją kowalowa.

— A co nie mam gadać? To niech bestja skacze prosto, a nie powłóczy się jak pijany...

— Wasze to nogi, matulu, nie statkują, kij temu nie poradził

¹⁾ Zginał; ²⁾ oględnie.

— Ale!... — odparła stara, machając niecierpliwie ręką. — Chodziły one przez ośmdziesiąt lat, a terazby miały zwodzić?... Zostańcie z Bogiem!...

— Idźcie z Bogiem!... — rzekła kowalowa za uciekającą babką.

Gdy została sama, znowu ją gniew porwał na organistę.

— Patrzajcie! — myślała: — chłopą mi skrzywdził, odzienie mu poplamiał, a teraz chce się godzić, kiedy mu pieniędzy potrzeba... Nie bój się! — szepnęła, wygrażając pięścią w stronę szarej dzwoniczki — i pieniędzy nie dostaniesz, i gruntu nie kupisz, i jeszcze ci przy ludziach wszystko wypomnę!... Akurat dla niego tatunio pięćset złotych uzbierał... Niedoczekanie twoje, dziadowodziel!...

Chcąc czem pręcej zakomunikować¹⁾ uwagi swoje mężowi, przeskoczyła przez płot i pobiegła do kuźni. Zdawało jej się, że już cały świat wie o przewrotności organisty, bo nawet pękaty, połatany miech gniewniej, niż kiedykolwiek, sapał i ział z paszczy płonące iskry.

Wywołała męża i opowiedziała mu wiadomość, przyniesioną przez babę.

— A to chwala Bogu, kiedy się organista chce pogodzić! — odparł dobroduszenie zasmolony olbrzym, wysłuchawszy opowiadania żony.

Młoda gospoia aż ręce załamała ze zgrozy.

— I tybyś się z nim pogodził?... — krzyknęła.

— Ma się wiedzieć!... A kto będzie uczył Staszka? może profesor?

¹⁾ Udzielić, podać.

— Ty się z nim pogodzisz za to, że ci butelkę o łeb rozbił?...

— Przecież nie łeb pękł, ino butelka...

— Za to, że cię od smoluchów wyzywa, z kominiarzem równa?...

— Jakem nie umyty, tom smoluch; wszyscy o tem wiedzą, a ty najpierwsza — mówił kowal, nie mogąc dojść powodu zawziętości żony.

Szarakowa wstrząsnęła głową.

— Doloż moja! — zaczęła biadać: — otom ci los zrobiła!... Toś ty chłop?... To twój ojciec z moim stryjem służył w wojsku, a ty nie masz ambicji?... ¹⁾ Ja baba jestem — mówiła zadyszana — a oczybym mu wydrapała, a ty się chcesz godzić?... Toś ty mąż Stawińszczanki, ze szlacheckiego gniazda żonę wzięłeś, a wstydu nie masz w oczach?...

Kowal zachmurzył się.

— Co nie mam mieć wstydu w oczach?... — mruknął.

— Przecież godzić się chcesz z organistą?...

— Co mam chcieć?...

— Przecie dopiero co mówiłeś?...

— Co miałem mówić?... Toś ty gadała, że ojciec tak kazał, no... a nam wypada go słuchać...

— Albo mój tatunio to twój ojciec?... Ty go nie potrzebujesz słuchać, tylko ja... Tyś nie powinien godzić się z organistą, choćbym ja nawet chciała na rozkazanie tatunia...

Ponieważ od kilku minut chłopcy w kuźni wodziли się za łby, co robiło dość wielki szelest, kowal

¹⁾ Ambicja = poczucie godności.

więc pragnął już wrócić do roboty, a może i uwolnić się od kłopotliwej rozprawy z żoną. Rzekł więc energicznie:

— No, kiedy tak, to niema zgody z organistą! Ojciec niech sobie chce, czy nie chce, mnie tam wszystko jedno. Ale ja nie chcę!... Nie będę się godził!... nie pojadę na niedzielę do młyna, ani ty jutro ze Staszkiem, i basta...

— A właśnie, że ja pojadę jutro, a ty w niedzielę! — przerwała żona.

— He?... — spytał Szarak, i chciał się wziąć ręką pod bok, ale go wporę odeszło.

— Będziemy oboje we młynie i niech organista przyjedzie, ale poto, żeby przy ludziach usłyszał, co ja mu powiem!... Tak!...

Mąż popatrzał na nią zukosa, może nawet chciał plunąć przez zęby, ale dał spokój i zawrócił powoli do kuźni, skrobiąc się w głowę. Tam chłopcy jeszcze się czubili; Szarakowi jednak łatwiej przyszło uspokoić ich, aniżeli przed chwilą wyrozumieć swoją małżonkę.

Gdy kowalowa wróciła do sadu, Staś już nie spał, lecz borykał się z Kurtą. Matka, ucałowawszy żwawego dzieciaka, zostawiła go pod psim dozorem na dworze, sama zaś z uzbieraną salată poszła do izby obiad kończyć. Cały czas aż do nocy zeszedł jej na przygotowaniach do jutrzejszej podróży i na układaniu planów zemsty. Jeżeli się uda, organista będzie skompromitowany¹⁾ na wieki.

¹⁾ Skompromitować = zawstydzić, narazić na poniżenie.

Na drugi dzień w chacie kowala był zamęt od świtu. Gospodyni wychodziła na dwie doby do ojca, musiała zatem gruntownie opatrzyć gospodarstwo. Zdawało się, że wszystko czuje jej odejście. Kurta jakoś mało jadł i tylko wyskakiwał około Stasia. Krowy, odchodząc na paszę, ryczały bardzo żałośnie, a wieprzki aż wysadzały drzwi chlewka, tak im się chciało gospodynię pożegnać.

W dodatku, trzeba było wcześniej podać obiad i klócić się z mężem, który co moment przychodził z kuźni i mruczał:

— Także djabli nadali z temi chodzeniami na-próżno! Mamy się godzić z organistą, to idźmy do młyna, a nie mamy się godzić, to nie idźmy. Poco sobie większego nieprzyjaciela robić?... Jeszcze nas przeklnie w czasie Podniesienia i ogień sprowadzi na dom, albo choroby na nas i na bydło?...

Wówczas kowalowa brała męża za ramię i wypychała go z izby, mówiąc:

— Już ino ty się nie wtrącaj!... Ty masz serce kowalskie, ale ja mam rozum szlachecki, i tak dogodzę organiście, że się pierwej on spali ze wstydu, aniżeli my od ognia!...

Po obiedzie, umywszy razem z dziewczuchą statki, Szarakowa jeszcze raz obeszła wszystkie zakątki, a na pożegnanie ucięła ją pszczoła, aż się jej łzy w oczach zakręciły. Potem wyciągnęła wózek na podwórze, włożyła na dno sienniczek, na sienniczek poduszeczkę, a na wierzch Stasia, i — ucałowawszy męża, ruszyła w drogę.

Wszystkie te przygotowania niezmiernie cieszyły Kurtę, a gdy gospodyni wzięła dyszel wózka

do ręki, pies wpadł w szal. Skoczył naprzód na Słasia i zdarł mu chusteczkę z głowy, potem o mało co nie oberwał węża kowalowi, a zgromiony przez niego, rzucił się z wielkim impetem ¹⁾ na gospodynię i ledwo jej nie przewrócił.

Tak gwałtowne oznaki radości na złe wyszły Kurcie. Szarakowa bowiem przypomniła sobie, że nie można domu bez psa zostawić, i — kazała go wziąć do izby. Dziewucha, Magda, z niemalym trudem zaniósła Kurtę do kuchni, psisko jednak w tej samej chwili wyskoczył na dwór oknem i weselił się jeszcze bardziej. W rezultacie ²⁾ dostał niebożę w kark chustką od pani, w bok obcasem od pana, w grzbiet drewnem od dziewczuchy, poczem zanieśiono go do pustego chlewa i zamknięto na kolek. Pies wył tak strasznie, że niejedna baba w polu, usłyszawszy go, przewidywała nieszczęście i zawczasu modliła się za dusze zmarłych.

Dzień był skwarny. Tu i owdzie na niebie stały białe obłoki, jakby rozmyślając: gdzie ukryć się przed spiekotą? Pod nogami Szarakowej i kołami wózka cicho skwierczały ziarna ciepłego piasku. Niedostrzeżony w górze skowronek świergotem witał podróżną matkę i jej syna, a z pomiędzy zboża makówki i chabry ciekawie wychylały się na drogę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie jedzie kto znajomy?

Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Oto ich dom na wzgórzu, jak sukienką odziany winogradem. W tej chwili żóraw studni zniża się: pewnie Magda poszła po wodę. Przed kuźnią stoi jakiś czle-

¹⁾ Pędem; ²⁾ rezultat = skutek.

czyna z konikiem, ale ich kowal widać jeszcze nie spostrzegł, bo bez przerwy biją młoty, nad których stukiem i brzękiem góruje żalosne skomlenie Kurty...

Istny obrazek! Zdawało się, że Szarakowa zacierpnęła w nim nowych sił i, ciągnąc wózek, pędem zbiegła ze wzgórka.

Droga szła kręto i falisto. Co kilkadziesiąt kroków wznosiły się pagórki coraz większe. Najwyższy przypada wśród brzozowego lasku, który leży tam w dole tak blisko, że napozór dosyć rękę wyciągnąć, aby schwycić go za gałązki. W rzeczywistości było do niego z pół godziny marszu.

Powoli chatka i kuźnia znikły, a nawet lament Kurty ucichnął. Piasek pogłębiał się, słońce piekło coraz mocniej, obłoki stały w jednym miejscu, jak puste promy na brzegu Wisły, i tylko coraz inny skowronek życzył wędrowcom szczęśliwej drogi.

Szarakowej tak było dobrze w tej chwili na świecie, że z jej serca ustępował nawet gniew na organistę. A gdyby też się pogodzić z nim?... «Niedoczekanie jego!» — mruknęła. Nie poto ja się męczę dziś na skwarze, żeby mu pięćset złotych wypracować...

Staś tymczasem leżał w wózku, oczarowany nowymi wrażeniami. Pierwszy raz wprost oczu widział nieograniczony horyzont¹⁾ i niezmierną głębię szafirowego nieba. Nie umiał jeszcze pytać: co to jest? — ani dziwić się: czuł tylko rzeczy niezwykłe. Ziemia, po której dotychczas chodził, zni-

¹⁾ Widnokrąg.

kła; gdziekolwiek zwrócił spojrzenie, spotykał niebo. Zdawało mu się, że leci, że tonie wśród ogromu, którego nie umiał jeszcze nazwać przestrzenią. Dusza jego zapełniała się treścią nieokreśloną i spokojną.

Był on, jak anioł, złożony z głowy i skrzydeł; unosił się wśród bezmiarów, nie pamiętał przeszłości, nie myślał o przyszłości, lecz w każdej chwili czuł nieskończoność. Taką formę bytu musi mieć — życie wieczne.

Nagle horyzont zaciemniły mnogie zielone gałązki, na wózek padł cień. Wjechali w las i zbliżali się do najwyższego wzgórka.

Spiekota, ciężar wózka i gniew na organistę wywarły pewny wpływ na kowalową. Uczuła zmęczenie. Chciała usiąść między drzewami i odpocząć, ale bała się opóźnienia w drodze, a przytem... w lesie?... Gdyby była sama, nicby jej las nie obchodził; ale obecność Stasia robiła ją ostrożną, niewiadomo przed czym. O wilkach i zbójcach nikt tu nie słyszał; kobieta jednak zlekłaby się teraz nawet zająca, gdyby wyskoczył...

Ach! ten las... długi na jakie dziesięć pacierzy... Żeby choć Kurtę wzięła z domu, byłoby jej weselej... On tam płakał zamknięty, a w tej chwili nawet psia krzywda padła na duszę kowalowej ciężkiem brzemieniem.

Ach! żeby z tego lasu prędzej wyjechać!... Żeby choć na ten wzgórek dostać się!... Szarakowa zdjęła chustkę i położyła ją na wózku. Mała ulga. Pot spływał z niej strumieniami, a z nim razem i siły. Zda-

wało jej się, że chyba nie dosięgnie do wzgórka, a cóż dopiero mówić o szczycie!

Przed samym wzgórkim, na prawo od podróżnej, biegła z głębi lasu inna droga, i w tej właśnie chwili, na tamtej bocznej drodze, rozległ się łoskot lekkiego powoziku. W Szarakową wstąpiła otucha; teraz przynajmniej nie będzie sama!... Pośpieszyła się i niebawem ujrzała powozik, naksztalt biedki ¹⁾, ale bardzo ładnie zbudowany i skórzanym daszkiem okryty. Biedkę tę, na resorach ²⁾, ciągnął piękny koń gniady, wewnątrz siedział jakiś pan, którego jednak Szarakowa dobrze zobaczyć nie mogła, ponieważ w tej chwili ekwipaż ³⁾ zawrócił na drogę i stanął do niej tyłem.

— Oj! żebyś ty mnie podwiózł!... — pomyślała kowalowa, lecz nie śmiała odezwać się do właściciela dryndulki ⁴⁾, choć szła tuż za nią.

Biedką ową, zbudowaną tak kunsztownie, jechał pan Łoski, obywatel ziemski i sędzia gminny. Wracał on z sądów do siebie i niewątpliwie chętnieby podwiózł zmęczoną a ładną kobietę, gdyby ją spostrzegł! Niestety, pan sędzia był głęboko zamyślony i nie tylko nie zauważył Szarakowej na zakręcie drogi, ale nawet nie słyszał jej przyspieszonego oddechu.

Podróżni dotarli do stóp wzgórka. Powozik toczył się noga za nogą; krok w krok za nim szła kowalowa, ciągnąc swoje brzemie.

¹⁾ Biedka = powozik na dwóch kołach; ²⁾ resory = sprężyny, na których spoczywa pudło powozu; ³⁾ powóz; ⁴⁾ powozik.

Wzgórze miało ze dwieście kroków wzwyż i było dość przykre. Skutkiem tego, Szarakowej przysła myśl ulżyć sobie na koszt konia. Nie zastanawiając się długo, zaczęła dyszelek wózka o osi biedki.

Plan był cudowny; zahaczony dyszelek trzymał się doskonale, wózek ze Stasiem jechał jeszcze lepiej, a kobiecina przynajmniej odetchnęła. Była na szczycie!...

Sama szła z tyłu wózka i, ulegając głosowi znużenia, mocno, obiema rękoma oparła się na krawędzi. Było jej znakomicie lżej, tak lekko, że chętnie przeszlaby tym sposobem nawet dwa razy dłuższą drogę, niż z domu do młyna. Ale cóż, kiedy na tym świecie zadowolenia ludzkie trwają bardzo krótko!... Już przechali połowę wysokości pagórka... Już tylko z pięćdziesiąt kroków do szczytu... Bóg ci zapłać, koniku, żeś nas tu wciągnął!... Pora odpiąć wózek od biedki...

Nagle koń ruszył klusem i biedka, za nią wózek, a w nim Staś — zjechali nadół!...

Szarakowa skamieniała. Nim zdążyła krzyknąć: «Stójcie!» — już biedka sędziego i wózek Stasia były na dole.

— Ratunku! — jęknęła kobieta, puszczając się z rozpostartymi rękoma na dół.

Jak błyskawica przemknęła jej myśl, że o byle kamień przewrócić się może wózek...

Ale wózek płynął w piasku jak w puchu, małe kółka kręciły się i chwiały, jak szalone, Stasiowi zaś szybka jazda sprawiała niezmiernie zadowolenie... Sędzia, nie wiedzący o niczem, był niemniej wesół,

a jego koń, któremu nagle ubyło ciężaru, aż parsknął z radości i rwał się do galopa.

Przez chwilę zdawało się Szarakowej, że uciekających dopędzi, że ją choć usłyszą. Ale gdzie tam!... Zatrzymała się, chcąc krzyknąć ze wszystkich sił, choćby jej płuca pękły. Lecz zaledwie otworzyła usta, głos w niej zamarł... Ujrzała, że coś wypadło z wózka. Dobiegła bliżej — to tylko jej chustka... Koń zwolnił... Zbliżyła się jeszcze bardziej. Już widzi wyraźnie główkę Stasia i jego rączki, ślicznie ułożone około boczków...

— Stasińku mój!... Ratujcie!...

Wózek zachwiał się i potoczył jeszcze prędzej. Już dziecku rączek nie widać, już główka niewyraźna, już wózek coraz mniejszy...

Szarakowa nie mogła pojąć, dlaczego przed koniem nie wyrasta wał ziemi, dlaczego niebo drogi nie zagraża, dlaczego drzewa nie zabiegają jadącym. Ileż tu ptaków siedzi na gniazdach i widzi jej macierzyńską rozpacz, a żaden nie śpieszy z pomocą. Gdyby choć który ptaszek odezwał się do pana: «Stój!» Gdyby choć który kamień na tę ciężką chwilę ocknął się ze swej drzemki... Napróżno! wszystko milczy...

Spojrzała w niebo. Nad jej głową wiewiórka spokojnie gryzie szyszki. Obłoki stoją na miejscach. Słońce pali jak dawniej... Spojrzała na drogę, a tam — biedka już niewyraźna, a wózek ledwie żółcieje. Zdawało się, że na tym nieszczęsnym wózku leży jej serce, gwałtem z piersi wydarte, bez miłosierdzia niewiadomo gdzie ciągnięte, a przywiązane do niej nitką, która coraz bardziej cień-

czała. Jeszcze chwila — i pęknie nitka, a razem z nią serce i życie biednej matki!

Powozik stopniowo malał i tonął między chwiejącą się zielenią drzew. Już jest taki — jak ptak... Teraz na chwilę znowu znikł, lecz znowu się pokazał... Znowu znikł...

Szarakowa przetarła oczy, pełne kurzu i łez. Nie widać nic!... Wybiegła na środek drogi. Nic... Przeszła na drugą stronę... Coś wdali mignęło, lecz wnet znikło... Wyczerpana z sił, przywalona bólem, upadła twarzą na ziemię i, zwinięta w kłębek, poczęła wyc, jak samica, której od przepelnionych piersi oderwano szczenię.

Wówczas na pagórku, gdzie ją takie nieszczęście spotkało, ukazał się konik w hołobli¹⁾, a za nim świętobliwie ogolona fizjognomja, należąca do człowieka, który siedział w niewielkiej, lecz mocno trajkoczącej bryczce. Szarakowa nie słyszała turkotu, nie widziała podróżnika, ale zato on spostrzegł skurczoną postać ludzką na drodze i zatrzymał konia.

— Pijana, czy umarła?... — myślał ogolony uroczyście wędrowiec. — Cholery dostała, czy ją kto zabił?... Jechać, czy wrócić?...

Patrzący z wysokości swego siedzenia na padół ludzkiej nędzy, lękał się zbójców, cholery i sądów i już pociągnął za lejce, aby skrócić, gdy wtem — przyszła mu na myśl Ewangelja na niedzielę 12-tą po Świątkach, zapisana u św. Łukasza w rozdziale 10, o zranionym i Samarytaninie: «A przystąpiwszy, zawiązał rany jego, nalawszy

¹⁾ Hołobla, hołoble = dyszle po obu bokach konia.

Ale Szarakowa nie słuchała już jego programu¹⁾, kaznodziejskim wygłoszonego tonem, lecz oparła głowę na rękę i zanosła się od płaczu. To ją uspokoiło nieco.

W pół godziny później bryczka wjechała na miejski rynek, przy kompanjamencie trzaskania batem i łaciny, hojniej niż zwykle szafowanej przez wzruszonego organistę.

Pan Łoski był to mężczyzna w średnim wieku, uczciwy i przyzwoity; miał przytem dużo rozwagi, spory majątek i angielskie faworyty. Niewielka łysina świadczyła, że dobry ten obywatel musiał niejednokrotnie za młodych lat mury głową przebijać i wogóle nie pędzić bogobojnego życia. Okoliczność ta jednak nie podkopywała szacunku, jaki miał u sąsiadów; dla żony zaś robiła go jeszcze droższym, miesząc do obecnego szczęścia w pożyciu małżeńskim — odrobinę żalu za wczoraj i niepokoju o jutro.

Wybrany na sędziego gminnego, pan Łoski pełnił urząd wśród powszechnego zadowolenia. Nie chcąc zaś ludzi odrywać od pracy, sprawił sobie elegancką, krytą biedkę na resorach, i do sądu o dwie mile odległego, jeździł sam. To też ile razy wracał z posiedzeń zbyt późno, pani miała zwyczaj zapytywania go odniechcenia:

¹⁾ Programat, program = zapowiedź sposobu działania.

— Wstępowałeś do sąsiadów?

— O, nie!... — odpowiadał. — Wracam prosto z biura.

— Ach!... — kończyła pani, żałując w duchu, że mężowi do owego biura nie towarzyszy stangret, a przynajmniej jaki chłopczyzna.

Nie miniemy się z prawdą, nadmienając, że i znajomi sędziego, a najbardziej damy, podzielały do pewnego stopnia wątpliwości pani Łoskiej co do niewinnego trybu¹⁾ życia jej małżonka. Sława, raz zdobyta, trwa wiecznie!

W dniu, w którym zdarzył się opowiedziany wypadek na drodze, pan Łoski wracał do siebie około drugiej po południu. Spraw w sądzie miał dziś niewiele, w domu oczekiwało go kilka osób z sąsiedztwa, więc pośpieszał. W chwili, gdy Szarakowa przyczepiła mu wózek do biedki, zastanawiał się nad procesem dwóch gospodarzy o kurę; później myślał o sposobach zabawienia swoich gości, i ani przypuszczał, że może się stać niewinnym powodem ciężkiego zmartwienia kowalowej i przedmiotem uciechy dla sąsiadów.

W końcu lasu droga do majątku sędziego zbacziała od gościńca na lewo. Łoski wjechał na nią bez przygody i wydostał się na otwarte pole. W jednym miejscu kilku ludzi kopało rów, i sędzia zauważył, że ludzie ci z wielkiem ożywieniem pokazują sobie nawzajem jego biedkę.

Później spotkał babę z małym chłopcem, którzy zatrzymali się na drodze i tak szeroko otworzyli

¹⁾ Tryb = sposób.

usta, jakgdyby mieli zamiar polknąć gniadego konia razem z powozikiem. Te znaki podziwu niezmiernie pochlebiały sędziemu, który z pociechą przekonał się, że ulubiony jego ekwipaż zaczyna zwracać uwagę.

Staś, z początku zachwycony prędką jazdą i podskakiwaniem wózka, znudził się i zasnął, marząc pewnie o figlach Kurty i pocałunkach matki. Niebawem biedka, stuknąwszy o próg bramy, wjechała na podwórze.

Przed dworem, wśród kwiatów, pod płócienną werendą ¹⁾, pani sędzina i towarzystwo dań i mężczyzn czekało na gospodarza. Sędzia spostrzegł to i, pragnąc zajechać z szykiem, postanowił okrążyć dokoła duży gazon. Ściągnięty lejcam, koń począł wyrzucać dogóry piękny łeb i przebierać nogami do taktu. Sędzia, nie chcąc być gorszym od niego, także wyprężył nogi, wyprostował się wdzięcznie i przybrał postawę dżentelmana ²⁾.

Rzeczywiście obrachowany efekt ³⁾ nie zawiódł go. Gdy bowiem, okrążając dziedziniec, znalazł się naprzeciw werendy, całe towarzystwo poczęło klasnąć, wołać: «Brawo!» — i manifestować ⁴⁾ różne inne oznaki zadowolenia.

Łoski ściągnął lejce jeszcze mocniej, koń wyrzucił łbem jeszcze zręczniejsze, biedka i przyczepiony do niej wózek z dzieckiem toczyły się jeszcze uroczyściej, a aplauzy ⁵⁾ widzów przybrały pozory sza-

¹⁾ Werenda, weranda, zwykle przybudówka w rodzaju altany, tu płótno rozciągnięte nad werendą; ²⁾ dżentelman — tu elegant; ³⁾ efekt = skutek; ⁴⁾ okazywać; ⁵⁾ oklaski.

lonej wesołości. To już zdziwiło sędziego, tem bardziej, gdy spostrzegł, że nawet stary jego sługa gryzie sobie wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem.

— Brawol... brawol... winszujemy!... cha!... cha!... — wołali mężczyźni.

Łoski wysiadł z biedki i osłupiał, widząc, że damy przybrały minki bardzo dwuznaczne, a jego żona, jasna blondynka, istny anioł dobroci, ma niewyraźny uśmiech na ustach i bardzo wyraźne łzy w dużych, łagodnych oczach.

— Odprowadź konia do stajni! — rzekł, nadobre zakłopotany, sędzia do służącego.

— A z tem, co zrobimy, jaśnie panie?... — zapytał stary frant¹⁾, pokazując serwetą wózek.

Łoski obejrzał się i struchlał, zobaczywszy przedmiot, tak mało mający związku z jego stanowiskiem męża i stróża sprawiedliwości. Fatalna sprawa wikłała się jeszcze bardziej przez to, że państwo Łoscy nie mieli własnych dzieci.

— Winszujemy znaleźnego!... — wołali mężczyźni.

— A zróbcież mnie choć ławnikiem!...²⁾ — krzyczał 80-letni ekspułkownik, stary kawaler.

Damy tymczasem otoczyły wózek, na którym Staś obudził się i zaczął płakać.

— Śliczne dziecko! — mówiła jedna.

— Jakie delikatnel

— Musi mieć przynajmniej rok — dodała trzecia.

¹⁾ Człowiek chytry, sprytny; ²⁾ ławnik = członek sądu,

— To też sędzia akurat dwa lata dla publicznego dobra!... — huknął tubalnym głosem pułkownik.

— Ależ panowie, to musi być omyłka!... — tłumaczył się zmienionym głosem nieszczęśliwy sędzia.

— W takim adresie nie może być pomyłki! — wtrącił niepoprawny pułkownik. — Ale niema co mówić, chłopiec śliczny, jak malowidło!

Korzystając z rejuwachu¹⁾, pani Łoska wymknęła się do pokoju. W kilka minut wróciła stamtąd z mocno zaczerwienionemi oczyma, ale już spokojniejsza i jakby zrezygnowana. Za nią toczyła się stara, gruba szafarka.

Gdy sędzina drżącemi rękoma wydobyla Stasia z wózka i oddała go szafarce, biedny mąż niezwykle pokornym głosem zapytał:

— Co z nim myślisz robić?...

— Przecież go nie oddam na folwark...²⁾ — odparła cicho żona, z odcieniem wyrzutu w głosie.

Usłyszawszy to, młode panie zarumieniały się, starsze spojrzały po sobie, nawet mężczyźni spoważnieli, a pułkownik odezwał się:

— No, kochana sędzino, odkładając żarty na stronę, dobrze pani zrobisz, nakarmiwszy zaraz chłopca, który musi być głodny. Swoją drogą jednak trzeba dać znać do parafji i do wójta, ponieważ jest oczywiste nieporozumienie, a rodzice tego malca muszą być w djabelnych opałach...

¹⁾ Rejuwach = zamieszanie; ²⁾ zabudowania gospodarcze przy dworze wraz z mieszkaniami służby,

Szafarka tymczasem, pilnie przyglądając się dziecku, mruczała:

— Jak rany Chrystusa kocham, wykapany nasz pan!... Nasz pan był taki sam, kiedy miał rok!... Pamiętam go przecie: nos, oczy, a nawet pieprzyk na szyi... Takuteńki sam! Oho!... to nie chłopskie dziecko...

Aby przerwać niesmaczne uwagi, sędzina lekko popchnęła gadatliwą kobietę na ganek i kazała dziecko nakarmić i umyć. Towarzystwo już ochłodziło, i wszyscy zaczęli narzekać na prawdopodobną nieuwagę piastunki, która wózek przypięła do biedki, a zarazem ubolewać nad zmartwieniem rodziców. Sędzia potakiwał im, usiłował odgadnąć, w której wsi malca przyczepiono; a gdy rozmowa przeszła na inny temat, i żona uspokoiła się, przynajmniej napozór, Łoski opuścił na chwilę gości i pobiegł do garderoby.

Tam, szafarka rozpędziwszy służbę, trzymała malca na kolanach i karmiła bułką z mlekiem. Staś jadł, lecz zarazem oglądał się niespokojnie po nieznanym pokoju, jakby szukając matki. Gdy sędzia wszedł, chłopiec, ujrawszy mężczyznę, z wyciągniętymi rękoma rzucił się gwałtownie naprzód i zawołał w swoim pieszczotliwym języku:

— Tata!... tata!...

— Głos krwi!... Jak rany Chrystusa kocham! — krzyknęła szafarka. — Ach! co to za mądre dziecko... ryhtyczek ¹⁾, jak pan.

Sędzia zbliżył się do malca, popatrzał na niego

¹⁾ Zupełnie.

uważnie, delikatnie dotknął jego opalonej buzi, a potem, obejrzawszy się na prawo i na lewo, pocałował Stasia. Zrobiwszy to, ku nieopisanemu rozczuleniu szafarki, wyszedł do sieni.

W sercu jego budziło się dziwne uczucie. Był roztkliwiony, niespokojny, lecz zarazem kontent i dumny. Staś podobał mu się bardziej, niż jakiegokolwiek inne dziecko.

Na korytarzu spotkał żonę, lecz nie śmiał jej spojrzeć w oczy. Widząc to, podała mu rękę i rzekła półgłosem:

— Ja już się nie gniewam.

Łoski przycisnął ją mocno do piersi i nagle wyszedł na ganek, obawiając się, by nie spostrzegła, że jest wzruszony.

* *

Sobota w małych miasteczkach bywa dniem ciszey i wypoczynku. Z tego powodu pan burmistrz mieściny X., pani burmistrzowa i rejent, ich przyjaciel, wyszli po południu na spacer.

Burmistrz, człek mały i pękaty, szedł naprzód. Prawą rękę, w której trzymał laskę, założył na plecy; lewą, zgiętą w łokciu, niósł przed sobą w taki sposób, jak kwestujący w czasie sumy dziad nosi tackę. Przytem uśmiechał się ciągle i przymykał oczy; ludzie mówili, że robi tak, aby «nie wiedzieć, skąd pada», naturalnie na ową wyciągniętą rękę.

O kilkanaście kroków za nim postępował rejent, wysoki, podstarzały kawaler, z panią burmistrzową pod rękę. Wątpimy bardzo, aby taki sposób spacerowania dziwił kogo w miasteczku. Wszy-

scy do niego przywykli, nie wyłączając burmistrza, który był zawsze kontent i myślał o tem tylko, ażeby «gęsto padało».

Na cześć tej trójki miejscowych znakomitości, pod drewnianemi domami rynku, ziewało kilku szabasujących Żydków, a obok zepsutej pompy draapał się leniwie pies, którego wyraźnie zarysowane zebra stanowiły ilustrację¹⁾ tutejszego dobrobytu.

W chwili, gdy spacerujący dosięgali granicy rynku, wpadła prawie na nich z ogromnym impetem bryczka organisty. Pan burmistrz aż na bok uskoczył, a pan rejent, widocznie ze wzruszenia, poprawił sobie kołnierzyk.

Jednocześnie bryczka stanęła naprzeciw rejenta.

— Zwarjowałeś acan, że tak pędzisz?... — zapytał rejent.

— *Laudetur Jesus Christus!*...²⁾ — odparł organista, dotykając biczyskiem czapki.

Burmistrz spostrzegł zapłakaną Szarakową i, zbliżywszy się do bryczki, uśmiechnięty, jak zwykle:

— A co to? — rzekł — stało się jakie nieszczęście? Umarł kto?... Spaliło się co?...

— Jaki nieprzytomny człowiek! — ciągnął rejent swoje. — O mało, że nie przejechał mnie i Jó..., to jest prezydentowej.

— Synek mi zginął... Stasierek mój! — zawołała kowalowa, znowu zalewając się łzami.

¹⁾ Ilustracja = obrazowe przedstawienie; ²⁾ Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Co to za jedna?... — spytała pani burmistrzowa.

— Zdaje się, że to będzie córka młynarza Stawińskiego — objaśnił rejent.

— A tak... Stawinszczanka, a teraz kowalowa. O, pomóżcież mi go znaleźć, moiści wy państwo złote! — mówiła Szarakowa, trzęsąc się z płaczu na bryczce.

— Hi! hi! hi! — zaśmiał się burmistrz — ma też czego płakać!... Takas młoda, da ci Pan Bóg jeszcze z dziesięcioro!...

— *André, soyez convenable!*¹⁾ — zgromiła go pani burmistrzowa, była wychowanka pensji²⁾ wyższej w mieście gubernjalnem.

— O, ratujcież mnie, moi złoci państwo! — jęczała kowalowa i, pochyliwszy się na bryczce, wyciągnęła ręce, jakby chcąc uściskać naprzód panią prezydentową, a następnie jej męża.

Ale pani prezydentowa, która ukończyła pensję, z gestem oburzenia cofnęła się wtył, a niemniej obrażony mąż jej zawołał:

— Cóż to u diabła za poufałość!... Nie wiesz, kto jestem?...

— Jużci wiem, że pan — wielmożny burmistrz. Pomóż-że mi znaleźć mojego syneczka... Już nie wiem, od kiedy go nie widzę, nieszczęśliwa! Może gdzie wyleciał z wózka i jeszcze go kto rozjedzie!

¹⁾ Andrzej, bądź przyzwolity! (franc.); ²⁾ zakład wychowawczy, zwykle połączony z internatem, t. zn. mieszkaniem dla wychowanków lub wychowanek,

— A cóż mię to obchodzi? — spytał burmistrz. — Idź sobie do strażnika!... Ona myśli, że ja będę za jej bębniem chodził!... Słyszałeś rejenta?

Wyraz «bęben» obraził kowalową. Oczy jej obeschły, na twarz wybiegła krew.

— A od czegożes pan burmistrz? — krzyknęła — może nie od tego, żebyś biednym ludziom pomoc dawał w nieszczęściu?... To mój Staszek bęben?... Paneś przecie taki sam był, a i on może kiedy, jeżeli się znajdzie...

W tem miejscu płacz zatamował jej mowę.

— Niedoświadczona kobieta! — mruknął organista, widocznie myśląc o tem, że burmistrz z wyciągniętą ręką nie jest od tego, ażeby biednym ludziom dawał pomoc w nieszczęściu.

Bądź co bądź, skutkiem wybuchu kowalowej, sytuacja stałaby się bardzo drażliwą, gdyby nie wmieszał się rejent, który miewał interesa ze Stawińskim. Przerwał on kłótnię, wzywając organistę, aby opowiedział, co się stało ze Stasiem.

Tymczasem dokoła bryczki zebrał się tłum Żydów, jakby z pod ziemi wyrosłych. Organista zaś całemu zgromadzeniu kaznodziejskim tonem opisał wypadek Stasia. Gdy wkońcu podniesionym głosem zapytał obecnych: czy nie zna kto obywatela, mającego krytą biedkę na resorach, — jeden z Żydów zawołał:

— Ja wiem! to pan Łoski, sędzia...

— A słowo stało się ciałem — krzyknął organista. — A toż ja właśnie do niego miałem interes, i Bóg wie, pocom tutaj wstępował!...

Z temi słowy zawrócił konia.

— O, jedźcież prędzej, kumeńku serdeczny! — mówiła kowalowa, targając organistę za połę długiego surduta.

Na bryczce oparł się Żydek i rzekł:

— Pani Szarakowa! a niech pani pamięta, że to ja powiedziałem... Ja tam jutro przyjdę do kuźni...

— Cóż to znowu za szachrajstwo? — oburzył się organista. — Przecież ja sam doskonale wiedziałem, że pan Łoski jeździ do sądu krytą biedką, zaprzęzoną w gniadego konia...

— To poco się pan pytał, jeżeli pan sam wiedział?... — zawołał rozgniewany Żydek.

— Nie tłumaczę się przed takimi łachmytami! ¹⁾ — odparł wyniośle organista, zabierając się do jazdy.

— Jedźmy już, jedźmy!... — błagała Szarakowa.

— Aj waj! jaki wielki pan!... — krzyczał Żydek, chwytając lejce. — Panie organisto! ja panu coś powiem!... Możeby pan przychodził do mnie co niedziela grać na katarynce?...

Otoczająca wózek gromada wybuchnęła śmiechem.

Dumny organista zbladł, ugodzony w najdrażliwszy punkt swojej ambicji, a w oczach błysnęła mu chęć zemsty. Podniósł się z kozła i, wyprostowawszy swoją długą figurę, zawołał potężnym i uroczystym głosem:

— Lejbuś! ja ciebie chrzczę... *In nomine Patris...*

¹⁾ Łachmyt = oberwanie.

— Aj waj!... Dy łobuz! Dy świńskie uches! — zawołała gromada, rozbiegając się po rynku.

Organista w tej chwili zaciął konia, i bryczka umknęła, wśród tumanów kurzawy, śmiechów i wymyślań gawiedzi.

Jechali dobrym kłusem z dziesięć minut. Co moment Szarakowa stawiała i, chwiejąc się na podskakującym wózku, patrzyła na drogę.

— Panie organisto!...

— A czego?

— Daleko to?...

— Mała milka, zajedziemy wnet!

Konik był mocny i zwinny, ale już i na jego gładkiej sierści ukazywały się wielkie plamy potu.

— Wio, mały! — krzyczał organista.

Niekiedy tuman, wlokący się za nimi, jak ogon, równał się z bryczką, zabiegał im drogę i trzy pary oczu zasypywał drobnym piaskiem. Wtedy konik schylał głowę między kolana i parskał, organista przecierał oczy grubym rękawem, i tylko biedna matka, nie przymykając nawet powieki, patrzyła na drogę.

— Panie organisto!

Organista wiedział już, o co chodzi i, nie czekając, odparł:

— Oto tam, między drzewami!... Widzi pani?... Za dziesięć pacierzy zajedziemy.

Skręcono na prawo. W polu kilku ludzi kopało rów.

Wózek stanął.

— Hej! hej!... — zawołał organista, kiwając na kopacza.

Jeden z nich odłożył łopatę i szedł ku bryczce. W Szarakowej tętna biły, jak młoty w kuźni, i drżała tak, jakgdyby wózek jeszcze pędził, choć on stał.

— Pan wrócił do domu? — zapytał organista nadchodzącego kopacza.

— A juścił

— A nie widzieliście wózka za jego biedką?

— A jakże, widzieliśmy!

— I dziecko było tam?

— Musi że było, bo się cosik trzęsło we środku.

— Bóg wam zapłać.

— Jedźta z Bogiem!... To wasze?

— Nie moje... tej pan! — odparł organista, wskazując batem za siebie.

— Panie organisto... — odezwała się kowalowa.

— Czego?

— Puśćcie mnie z bryczki... ja pójdę piechotą, bo mi się widzi, że prędzej zajdę...

— A! nie barłóżyłabyś pani... Wio, mały!

— O Jezul! Jezuniul... czy choć ja go aby znajdę!... — szeptała kowalowa, klękając na ruchliwym dnie bryczki.

Koń pędził galopem.

Może o wiorstę¹⁾ ode dworu organista spostrzegł jakiś bury przedmiot, prędko toczący się od jednego brzegu drogi do drugiego. Gdy podjechali

¹⁾ Nieco więcej niż kilometr.

bliżej, poznał psa, który, ze spuszczoną ku ziemi głową, biegł przed bryczką.

— Kurta!... — krzyknął organista. — Patrzej pani, wasz Kurta tu jest!

Pies, zobaczywszy kowalową, począł wyć, szczekać, rzucać się do wózka i skakać do pyska koniowi, który, parskając, oganiał się, jak umiał. Pocziwe psisko, wypuszczone z chlewa, za śladem Stasiowego wózka aż tu przybiegło.

— Wszystko idzie dobrze! — zawołał organista i ściągnął lejce.

Stanęli pod bramą dworską.

Kowalowa wysiadła, podeszła parę kroków i nagle oparła się o słup bramy, czując zawrót głowy. Organista wziął ją za rękę, i tak poszli ku dworowi, poprzedzani przez Kurtę, który wciąż szczeakał, skakał i obracał się wkołko.

Właśnie całe towarzystwo siedziało pod werendą przy obiedzie. Podróżni zatrzymali się u płotu, nieśmiało patrząc w stronę państwa, gdy nagle Kurta pocwałował naprzód.

Za nim pobiegła kowalowa i, zadyszana, z podniesionemi rękoma, uklękła przy końcu stołu, gdzie na kolanach szafarki siedział Staś, żywy, wyspany i uśmiechnięty.

— A pójdziesz! ty zbrodniarzu!... — wołała przestraszona szafarka na Kurtę, który gwałtem usiłował na nią wskoczyć.

— Matka! matka! — zawołali państwo, widząc kobietę, która przypadła do ziemi i z krzykiem całowała tłuste nożęta Stasiowe.

Przerwano obiad, wszyscy powstali i zbliżyli

się do drugiego końca stołu, gdzie rozgrywała się zabawna scena: dwie kobiety klóciły się o dziecko.

Szarakowa chciała odebrać swoją własność, szafarka znowu nie oddawała jej chłopca.

— To mój syn! mój Stasienko! — wołała matka.

— Coś acani za jedna?... — krzyczała, mocując się z nią szafarka. — Także... ordynaryjność!... ¹⁾ Łapie takie delikatne dzieciątko, jak poleć słoniny!

— Bo to mojej!

— Co panine?... To syn naszego pana, wszyscy tu poświadczą!... Taki śliczny... O, widzisz pani... Pan przyszedł... Oddaj pani chłopca!...

Całe towarzystwo śmiało się bez ceremonji.

— Ale państwo się śmieją — mówiła zapeziona szafarka — a to przecie jest syn pana!... Podobniuteńki!... A nie pójdziesz, psia wiaro!... — krzyknęła znowu na Kurtę.

Szarakowa, klęcząc, odwróciła głowę i ze zdumieniem spojrzała na tego, którego ojcem Stasia nazywano. Przypatrzwszy się, rzekła z naiwną ²⁾ prostotą:

— Nie byłby on taki śliczny, jak jest, żeby był waszego pana. To syn kowala... Szaraka Józefa!...

W tem miejscu odezwał się organista i w mowie pełnej namaszczenia potwierdził, jako zgubione dziecię, które na chrzcie świętym otrzymało imię Stanisława, jest prawym synem Józefa i Małgorzaty ze Stawińskich, małżonków Szaraków.

Wiadomość, z tak poważnego źródła płynąca,

¹⁾ Grubjaństwo; ²⁾ dobroduszną.

pani sędzina przyjęła z oznakami wielkiego zadowolenia, pan sędzia zaś uśmiechnął się, jakgdyby po spożyciu kwaterki niedojrzałych terek.

— Fiut! fiut! — gwizdnął stary pułkownik i dodał: — Poszło!...

Sędzia skrzywił się jeszcze lepiej i machnął niedbale ręką.

— Cieszę się bardzo — rzekł — iż biedny ten malec tak prędko odzyskał rodzinę!...

— To mi przypomina bajkę pod tytułem: «Lis i winogrona» — wtrącił pułkownik.

Panie przygryzały wargi, sędzia kręcił się, jak na szpilkach, organista niczego nie rozumiał, a Szarakowa nie słyszała, zajęła pieśczeniem Stasia.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że organista zmuszony był raz drugi opowiedzieć przygodę Stasiową.

Nalitowawszy się nad matką, wszyscy śmieli się teraz z wypadku, z wyjątkiem szafarki, której wielką boleść sprawiło to, że Staś nie jest synem jej pana.

— A taki mądry!... A taki podobny!... Ma nawet pieprzyk na szyjce — mruczała stara.

*
*
*

Dla uzupełnienia dodamy, że organista, załatwiwszy u sędziego interes Jegomości, odwiózł Szarakową do jej ojca i tam po raz trzeci opowiedział wiadomą historję struchlałemu Stawińskiemu. Wyjechawszy z młyna, tego samego dnia opowie-

dział ją po raz czwarty kowalowi, a po raz piąty Jegomości.

W niedzielę, po nabożeństwie, Stawiński z córką i wnukiem, tudzież wszystkie młynarczyki wylegli na most, przypatrywać się jadącej od strony miasta jednokonnej bryczce, w której — o dziwo! — kował Szarak siedział obok organisty Zawady, jak rodzeni bracia...

Stary młynarz obu pogodzonym przeciwnikom wypalił długą i nudną orację ¹⁾ o potrzebie wzajemnego przebaczenia uraz, co w tej chwili było całkiem zbyteczne. Potem wezwał wszystkich na obiad, po obiedzie zaś doręczył organiście kwotę pięciuset złotych, jako bezprocentową pożyczkę na lat trzy. Skutkiem tego, organista często później powtarzał ludziom, w formie nauki moralnej, następującą sentencję ²⁾:

— Kochani bracia! Gdy rozpamiętywam swoje życie, widzę dokładnie, jako Pan Bóg miłosierny nigdy nie opuszcza ludzi takich, jak ja — cnotliwych i sprawiedliwych. *In saecula saeculorum!*

W poniedziałek organista był już przy kościele, Szarak w kuźni, Staś bawił się z Kurtą na podwórzu, pod okiem Magdy, a kowalowa pracowała w sadzie.

Okolo południa, przed ich dom zajechała furka, z której jakiś człek, nie z tej wsi, zdjął piękne kasztanowate cielátko z białą gwiazdką na czole. Ponieważ małoletni czworonóg widocznie bał się

¹⁾ Oracja = mowa; ²⁾ sentencja = zdanie, mające ogólne znaczenie.

szczekającego psa i iść nie chciał, furman więc ujął go jedną ręką za kark, drugą za ogon i w taki sposób przyprowadził zdziwionej Szarakowej.

— Co to?... skąd to?... — pytała gospodyni.

— A to wam pani Łoska podarowała na posag dla waszego chłopaka — odpowiedział człowiek.

— Józek!... Magda!... a chodźcie ino!... Staś będzie miał krowę!... Przysłali mu ją ze dworu — wołała zachwycona kobieta, całując cielátko, któremu niemniej zachwycony Kurta potrochu oskubywał ogon.

Tym epilogiem¹⁾ zakończyła się przygoda Stasia.

¹⁾ Epilog = zakończenie

1. GEN. F. SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI Gdzie widziałem Komendanta

2. W. L.

3. Z. N.

4. G.

5. M.

6. E. S.

7. J. M.

8. H. B.

9. G.

10. A.

11. A. B.

12. GEN.

13. JIM

14. GEN.

15. F. C.

16. H. A.

17. J.

18. H.

19. E.

20. ST.

21. K.

22. J.

23. G.

24. F.

25. K.

26. H.

27. ST.

28. J.

29. E.

30. J.

31. M.

32. F.

33. J.

34. J.

35. J.

36. J.

37. Z.

38. H.

39. W.

40. GEN.

41. K.

42. J.

43. J.

44. S.

45. R.

46. F.

47. M.

48. W.

49. E.

50. E.

51. BRIDGES

52. K.

53. W.

54. E.

55. ST.

56. H.

Biblioteka Główna AP w Siedlcach

nr inw.: KG - 415



415

1.—

1.—

1.—

0.90

0.98

0.90

0.90

0.90

0.90

1.—

0.80

1.10

1.—

1.10

1.—

0.90

1.10

0.90

1.—

0.90

0.90

1.—

0.80

0.90

0.90

1.—

0.90

1.—

1.—

1.10

1.10

1.—

1.50

1.20

1.20

1.—

1.—

1.—

1.—

1.—

1.10

1.—

1.50

1.20

0.90

1.—

1.—

1.20

1.20